



Kryminał z myszką

44

Maruta

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

MARUTA

Kryminał z myszką – Tom 44

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-29-4

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: KAW, Warszawa 1976

Prolog, który należy uważać za integralną część opisywanych przez autora zdarzeń.

Był to zwykły, szkolny brulion o postrzępionej tekturowej okładce, zapisany gęsto ołówkiem. Niektóre strony pokrywały równe rzędy liter, tworząc zdania o poprawnej budowie, a opisy i dialogi zdradzały obycie z piórem. Na innych pełno było powtórzeń i oderwanych, nie wiążących się ze sobą, urywków myśli i spostrzeżeń.

Zawierał notki robione zapewne dorywczo, nieraz w pośpiechu lub pod wpływem silnego wzburzenia. Mówiły one o walce i miłości, a dotyczyły przeżyć nie znanego mi człowieka z dramatycznego okresu powstania warszawskiego. Nigdzie nie ujawnił swego nazwiska, nigdy go później nie spotkałem, toteż pozostał mi znany tylko ze swego bojowego pseudonimu.

Zeszyt ten trafił w moje ręce zupełnie przypadkowo. Poniewierał się na piwnicznej podłodze, skąd podniosłem go mimo gorączkowego pośpiechu, jakiemu w tamtym momencie uległem, bo czas jaki mi pozostał, ubiegał z zastraszającą szybkością. Jednak rzut oka na treść spowodował, że, zaciekawiony, wsunąłem również ów zeszyt do brezentowego worka.

Sądzę, że powinienem również opowiedzieć nieco szerzej, w jaki sposób dostał się on w moje ręce. Chociażby dlatego, że jest to mało znany przyczynek do historii tamtych dni – tuż po powstaniu warszawskim.

Szanując prawa żyda zbiorowego – i te pisane, i niepisane – starałem się jednak zawsze chodzić własnymi drogami. Toteż po zakończeniu powstania ominąłem i obóz jeniecki, i pruszkowski punkt zborny dla ludności cywilnej. Znalazłem się natomiast w podwarszawskich Włochach. Była już połowa października, dni stały się zimne i dżdżyste, cały mój przyodziewek stanowiły dziurawe buty, koszulka z krótkimi rękawami i lekki letni garniturek, mocno już sponiewierany, a zasoby gotówkowe pozwalały na przeżycie najwyżej dwóch tygodni, i to zaledwie na kartoflach i cebuli. Natomiast całe wyposażenie osobiste, a nawet nieco drobnych rodzinnych kosztowności pozostało w piwnicy domu, gdzie mieszkalem przed wybuchem powstania.

Jedynym więc ratunkiem było przedostanie się do tego domu. Ale jak to zrobić, skoro lewobrzeżna Warszawa otoczona była gęstym pierścieniem posterunków, a po jej ulicach krążyły patrole, strzelające bez ostrzeżenia do każdego napotkanego cywila? Sam zresztą widziałem na peryferiach mogiły z tablicami objaśniającymi, że leżą w nich rozstrzelani za próby przedostania się do miasta, a więc ostrzeżenia mające swoją przekonywającą wymowę.

Ale ponoć nie ma sytuacji bez wyjścia. A więc i tu zjawiała się pewna szansa. Otóż przed zupełnym zniszczeniem resztek Warszawy, co okupant zaczął już realizować, obywatelom narodowości niemieckiej i tym, którzy ją zadeklarowali, czyli tak zwanym volksdeutschom, zezwalano wrócić do miasta po swój dobytek, jeśli byli w stanie udowodnić, że mieszkali w nim przed powstaniem. Mogli wziąć ze sobą furę i sześciu robotników dla załadowania mebli i innych rzeczy. Każdej takiej grupie przydzielano umundurowanego żandarma, tak zwanego begleitera, który odpowiadał za przejazd po wskazanej trasie, terminowy powrót (przed zmrokiem) i nierozproszenie się ekipy.

Biuro wydawania przepustek mieściło się na dalekiej Woli, za cmentarzem Ewangelickim, w lokalu dawnej firmy Kirschmeyer i Marczewski. Stał tam w poprzek ulicznej jezdni sznur żandarmów a nie opodal, tuż przy szosie, leżało kartoflisko, na którym powstała swego rodzaju giełda.

Czekały tu konne zaprzęgi, skupiali się robotnicy chętni podjęcia się pracy przy załadunku, kręcili się sprzedawcy dwóch artykułów: wódki i gorącej kiełbasy, dni bowiem, jak wspominałem, były chłodne i mokre. Tam też udawali się owi Niemcy, którzy już dostali przepustki, wynajmując zaprzęgi i ludzi.

To była właśnie ta szansa, bo teren kartofliska stał się giełdą, na której można było kupić miejsce tragarza.

Cena wynosiła dwadzieścia tysięcy. W zamian płacący był włączany do ekipy, oczywiście bez obowiązku pracy przy załadunku. Mógł natomiast „urwać się” na własną odpowiedzialność i ryzyko po swoje rzeczy i załadować na wóz to, co zdołał unieść. W rezultacie wyruszający Niemiec miał na wozie dwóch rzeczywistych tragarzy, którym płacił, i czterech, którzy płacili jemu. Oczywiście do interesu należał i begleiter. Oprócz jakiejś „doli” od swego pobratymca otrzymywał od owych czterech również ustaloną opłatę – po litrze wódki i kółku kielbasy.

Problem polegał jednak głównie na tym, by znaleźć takiego „patrona”, który jechał w pobliże miejsca zamieszkania płacącego, bo „urwanie się” było sprawą mocno niebezpieczną ze względu na ryzyko spotkania patrolu. Im więc znajdowało się bliżej, tym ryzyko to było mniejsze.

Jak zdobyłem pieniądze i jaki przebieg miała wyprawa obfitująca w dramatyczne momenty, nie należy już do rzeczy. Pomogła mi ludzka uczynność i zrozumienie sytuacji. Ostatnie pięć tysięcy pożyczyła mi handlarka kielbasą na kartoflisku, nie wiedząc chyba nawet, jak się nazywam. Sądzę, że pobudką jej czynu była nie tylko obiecana nadpłata.

I tą drogą w moim brezentowym worku poza ubraniem, bielizną i paczuszką ze złotymi drobiazgami znalazł się i ten zeszyt.

Czekał on na odegranie swojej roli w szufladzie mojego biurka przez wiele lat, do czasu, kiedy zwierzenia innego uczestnika, opisywanej w nim historii, uzupełniły jej obraz, wyjaśniając jednocześnie niektóre, niezrozumiałe dotąd, sytuacje.

Pamiętnik „Bitnego” wymagał nie tylko uporządkowania, ale i odtworzenia tła, natomiast opowiadanie poznanego przypadkowo człowieka przytaczam wprawdzie bez żadnych zmian merytorycznych, ale we własnym ujęciu.

Sądzę, że te dwa wątki, które podaję oddzielnie w kolejności ich powstawania, dadzą zrozumiały obraz tego, co zdarzyło się w kamienicy pod nr 32 we wrześniu 1944 roku, przy ulicy, której nazwy nie wymieniam celowo.

Wtorek – wieczór

Z odległej przestrzeni zasnutego dymami miasta dochodziły krótkie serie maszynowej broni podobne urywanemu szczekaniu znużonego psa. Po chwili strzały umilkły i ciszę ponurego cmentarza kamienic przerywał tylko trzask dopalających się ogni.

Zaczynało już ciemnieć. Niebo zewsząd pałało łunami, toteż nie można było rozeznaczyć, którą z nich rozpałało zachodzące słońce, a którą pożary. Smugi dymu szły górą, rozciągając się w długie, brunatnoczarne pasma. Gdzieś, tym razem zupełnie blisko, rozległa się krótka seria, a po niej kilka pojedynczych strzałów.

– Nasza barykada musi być tu niedaleko – rzuciłem za siebie – chłopcy czuwają...

Szliśmy w sześciu, jeden za drugim, tuż przy ścianach domów – cała reszta, jaka pozostała z mego plutonu.

– Mają tu święte życie – mruknął idący za mną Gnat. – Spokój jak w klasztornym ogródku!

– Toteż kiedy już sobie legnę, nie wstanę aż po trzech dniach! – rozległ się ze środka szeregu dyszkant Świergota.

Nikt już nie odezwał się, bo zapewne każdy na swój sposób wrócił myślą do dni, które udało się przeżyć.

Słychać było tylko stuk kroków i chrobot duszonych podeszwami odprysków cegieł.

Milczenie przerwał idący na końcu szeregu Surma.

– No, Bitny, daleko jeszcze? Chyba zasną idąc...

– O ile mogłem dostrzec, minęliśmy właśnie numer dwudziesty – powiedziałem odwróciwszy się do Heńka.

– Gdzie ma być ta kwatera? – wtrącił Kruszyna, skacząc za poprzednikami przez zwał gruzu.

– Pod trzydziestym drugim. Podobno kamienica nienaruszona.

Mijaliśmy wypalone mury kolejnego domu. Patrzył na ulicę pustymi prostokątami okiennych otworów, niby oczodołami wylupionych oczu. Wewnątrz, do wysokości piętra, leżały sterty cegieł ze zwałonych stropów, których belki rysowały się na czerwonym tle nieba czarnymi liniami. Na wpół zwęglone wiązania dachowe sterczały ze zwałów gruzu. Pełgały po nich języki ognia, tu i ówdzie sączyły się wąskie strużki niebieskiego dymu. Od czasu do czasu tlejące drzewo raptem strzelało jasnym płomieniem, który rozświetlał rumowisko i szerniało od dymu mury. Panującą wśród nich ciszę przerywał jedynie trzask pryskających z nagła iskieł – ogień był tu wyłącznym symbolem życia i ruchu.

Tylko wąwozem ulicy, pełnym zwałów cegieł i sterczących ku górze resztek murów, ciągnęły lekkie podmuchy wiatru. Zmiały wapienny pył, szeleściły papierami, przewracały strony rozrzuconych wśród gruzów książek, z cicha brzęczały blachami rozbitych rynien. Te ledwie uchwytnie odgłosy wzmagaly grozę, jaka szła z tych pustych, okaleczonych domów.

Idąc na czele oddziału, wkrótce spostrzegłem szary zarys barykady z chodnikowych płyt, okalającej regularnym prostokątem bramę mającej przed nami kamienicy, co dowodziło, że miała ona mieszkańców. Byliśmy zatem u kresu marszu. Mimo woli przyspieszyłem kroku, rad, że wreszcie nadchodzi odpoczynek, któregośmy tak bardzo potrzebowali.

I w tej chwili usłyszałem suchy trzask karabinowego wystrzału. Obróciłem się gwałtownie i zdążyłem jeszcze dostrzec, jak Surma rozkłada ręce i wali się twarzą w gruz ulicy.

Rzuciliśmy się ku niemu. Od razu zobaczyłem na plecach dużą, coraz bardziej powiększającą się ciemną plamę. Bicz nachylił się nad leżącym.

– Nie żyje – stwierdził krótko, rozglądając się dookoła po czym dorzucił zduszonym szeptem. – Skąd drań strzelał?

Lustrując wzrokiem otoczenie, zadawałem sobie to samo pytanie.

– Dostał w plecy – mruknął cicho, jakby do siebie, Gnat. – Znow „gołębiarz”.

Chłopcy spoglądali w głąb ulicy, którą przeszli. O kilkadziesiąt kroków od nich widać było ścianę kamienicy, jedynej, która miała balkony.

– Gnat i Bicz, zbadać tamten dom! – poleciłem, starając się zachować spokój. – Może go jeszcze dopadniecie, zachować więc ostrożność! Znajdziecie nas za tą barykadą.

Zerwali z ramion automaty i ruszyli biegiem. Obróciłem się do pozostałych.

– Kruszyna, weźmiesz go ze mną pod ramiona, Świergot za nogi.

Unieśliśmy ciało zabitego towarzysza. Świergot, schylając się nad zwłokami, przez chwilę łapał powietrze krótkimi, spazmatycznymi haustami.

– A tobie co? – burknął Kruszyna dźwigając wraz ze mną ciało.

Ruszyliśmy ze swoim ciężarem ku barykadzie.

– Wolałbym, żeby mnie... Żeby mnie... – usłyszałem za sobą szloch Świergota. – W plecy mu strzelił, podlec... Jeszcze parę kroków, a... właśnie teraz... kiedy już... już tak blisko... kiedy...

– Przestań głądzić! – rzuciłem opryskliwie, nie obracając głowy.

Szliśmy z ponurymi twarzami, wolno i w milczeniu. Kiedy podchodziliśmy do barykady, zza jej ściany, z płasko ułożonych chodnikowych płyt, rozległ się dziewczęcy głos.

– Stój! Kto idzie?!

– Zamknij się! – warknął Kruszyna.

– Stać, bo strzelam! – Głos był nieco drżący, ale stanowczy.
 – Stul dziób, sikoro! – ze złością krzyknął Kruszyna.
 I on tak jak ja z trudem zachowywał spokój. Teraz dopiero dał upust wściekłości.
 Obeszliśmy cementową zaporę i znaleźliśmy przejście. Na widok naszego ciężaru stojąca za barykadą dziewczyna opuściła trzymany w ręku stary bębenkowiec i odstąpiła na bok. W czarnej czeluści bramy zamajaczyło kilka postaci. Jedna z nich podeszła do nas.
 – Jestem komendantem tej kamienicy. Czy to ranny?
 – Zabity – mruknąłem przez zaciśnięte zęby. – Zginął o kilka kroków stąd.
 – Znowu! – rozległ się czyjś głos.
 – Skąd jesteście?
 – Ze Starego Miasta. Mamy tu na parę dni dostać kwaterę.
 – Mówiła już o was łączniczka z punktu dowodzenia. Możecie zająć któreś z pustych mieszkań na wyższych piętrach.
 – Gdzie złożyć zwłoki na dzisiejszą noc? Jutro go pogrzebiemy.
 – Piwnice pełne są ludzi. Naszych i obcych. Zostawcie więc go tutaj! Mamy stały posterunek przy bramie.
 – My będziemy pełnić przy nim straż – odezwał się niewidoczny w ciemnościach Kruszyna. – Samego go nie zostawimy.
 – Jak chcecie. Chodźcie, wskażę wam mieszkanie. Trzech was tylko?
 – Zaraz przyjdą jeszcze dwaj. Przeszukują dom, z którego strzelano.
 – Wasz towarzysz nie jest pierwszy. Gdzieś tu ukrywa się gołębiarz czatujący na ludzi. Nawet po wodę niebezpiecznie jest wyjść! Musimy chodzić nocą!
 – Kto pierwszy obejmie wartę przy zwłokach? – zwróciłem się do towarzyszy.
 – Ja! – zgłosił się Świergot. Zostanę na całą noc! Możecie się wyspać.
 – Nie. O jedenastej zmieni cię Gnat. Następne warty ustalę potem.
 Dalsze słowa przerwał mi okrzyk dziewczyny strzegącej barykady, a po chwili zjawili się Bicz i Gnat. Przystanęli na chwilę, szukając mnie wzrokiem wśród ledwie rysujących się postaci.
 – Jestem tu – odezwałem się. – No i co?
 – Nic. Już za ciemno. Mógł przywarować w byle kącie i też byśmy go nie dostrzegli.
 – Trudno. Chodźcie, idziemy na kwaterę. Przy zwłokach, pierwszy, zostaje Świergot.
 Mieszkanie było obszerne, umeblowane bogato. W oknach nie było jednak szyb, a ze ścian i sufitów miejscami pooblatywał tynk, pokrywając gruzem i wapiennym pyłem kolorowe dywany. Niektóre z obrazów pospadały, inne wisiały krzywo, grając barwami płócien w chybliwym świetle świecy.
 Zlustrowałem pokoje. Za obszernym salonem znajdował się równie wytwornie umeblowany gabinet, z wielkim biurkiem zawalonym odłamkami szkła i szafą pełną książek, których tłoczone złotem grzbiety połyskiwały równymi rzędami na półkach przysypanych wapnem. Dalej była sypialnia o dwóch szerokich, małżeńskich łóżach. Krótki korytarzyk łączył kuchnię z dużą jadalnią. Jedną ze ścian zajmował wielki gdański kredens.
 Gnat, który mi towarzyszył, zainteresował się zaraz jego zawartością, jednak poszukiwania okazały się daremne.
 – Byli tu przed tobą inni. Nie trać czasu... – mruknąłem.
 – Widzę. Cholera...
 – Miejsc do spania jest dość, żarcia wcale – oznajmił pozostałym Gnat, kiedy wróciliśmy do salonu.
 – Zajmuję tę kanapę. – Rzuciłem automat na atłas obicia stylowego mebla. Wziąłem od Bicza świecę, potarłem ją o tynk przylepiając do ściany i dodałem – Rozlokujcie się, potem pogadamy...

Zsunąłem z głowy hełm. Reszta poszła za moim przykładem. Odłożyli broń i, porozpinawszy pasy, wyciągnęli się w fotelach.

– Gadanie zostawiłbym na potem, a teraz wziąłbym coś na ząb. Od rana o suchym pysku... – odezwał się Gnat.

– Będziemy rąbać na zimno? – spytał Kruszyna z lekką przyganą w głosie.

– Widziałem w kuchni krzesło. Zaraz zrobię ogień...

– Poczekaj z tym! – rzuciłem ostro, tracąc na chwilę opanowanie, które z trudem dotąd zachowywałem. – Ten pies znaczy teraz nową kreskę na kolbie, a wy myślicie przede wszystkim o żarciu!

– Przywykło się nieco do śmierci – odezwał się pojednawczo Kruszyna.

– Podchorąży ma rację – mruknął Bicz. – Och, żebym dostał tego drania w łapy!

– Dostaniemy go – rzuciłem gwałtownie. – Inaczej pozwolę nazwać się ostatnim gnojkiem!

– Ryzykowna obietnica – oświadczył spokojnie Kruszyna. – To niełatwa sprawa.

– Łatwa, niełatwa, z góry nie przesądzaj! A teraz chcę postawić parę pytań, by wspólnie poszukać na nie odpowiedzi.

Świeca paliła się nierówno, jej płomień chybotął od podmuchów wiatru, a ruchliwe cienie siedzących przesuwwały się po ścianach.

– Co to za pytania?

– Pierwsze: Skąd padł strzał? Nasze podejrzenie co do tamtej kamienicy trzeba potwierdzić albo odrzucić. Przyjrzałem się ranom Surmy. Wylotowa znajduje się niżej od wlotowej. To położenie wskazuje, że morderca strzelał z góry.

– Wzajemne położenie ran zależy również od pozycji ciała w chwili, kiedy dosięgła je kula – uzupełnił Kruszyna. – Wersję strzału z góry moglibyśmy przyjąć tylko w tym wypadku, jeśli mielibyśmy pewność, że Surma szedł wyprostowany. A tej pewności nie mamy i stąd wydaje mi się, że położenie ran to nie dowód.

– Bardzo to przekonująco wywiodłeś – mruknąłem z ironią – ale nie przemyślałeś sytuacji do końca.

– Co masz na myśli? – zabrał głos Bicz. – Wydaje mi się, że Kruszyna ma rację.

– Tylko na pierwszy rzut oka. Rana wylotowa kuli idącej poziomym torem będzie znajdować się niżej od wlotowej tylko w pozycji ciała odchylonego do tyłu, co jest wykluczone, bo wówczas Surma nie utrzymałby się na nogach. Stąd obstatę przy założeniu, że strzelano z góry.

– Poddaję się... – Kruszyna uniósł do góry brudną dłoń.

– Ponieważ zabójca, wychylając się z okna, nie mógł oddać celnego strzału wzdłuż ulicy, przypuszczam, że leżał na balkonie, wysunawszy lufę karabinu spomiędzy słupków balustrady.

– Mamy więc odpowiedź na pierwsze pytanie, bo dom z balkonami jest tam tylko jeden – stwierdził Bicz.

– O to chodzi. Trzeba będzie zbadać go dokładnie. Obejrzę go sobie jutro rano.

– A jakie zadanie dla nas? – Gnat wyjął zza paska długi pistolet i położył go na stojącym obok niego stoliku.

– Najpierw należy obrać jakieś punkty wyjścia, jak ten już ustalony. Stąd kolej na pytanie następne: czy morderca przebywa w tym domu?

– Wszystkie wokoło są rozbite – odezwał się Bicz – więc nie ma innej możliwości. Musimy zbadać, kto tu mieszka.

– Stałych mieszkańców nietrudno będzie poznać – rozważał Kruszyna – ale z przybyszami sprawa jest gorsza. Tak jak i wszędzie, na pewno tłoczą się w piwnicach, siedząc nieomal jeden na drugim.

– A może ukrywa się w tamtym domu z balkonami? – Ciemne oczy Bicza załśniły na moment w przelotnym rozbłysku świecy.

– Proponuję odłożyć ten temat do jutra, do momentu ustalenia, kto zamieszkuje ten dom i kto przebywa w piwnicach. – Kruszyna, mówiąc to, przesunął spojrzeniem po towarzyszach i zatrzymał wzrok na mnie. Jego wysokie czoło znaczyły szramy zadrapań, pozostałość po zasypaniu gruzem w czasie walk na Starym Mieście.

– Chyba masz rację – musiałem przyznać. – Istotnie, najpierw trzeba się rozejrzeć... Ale mamy mało czasu... Dlatego chciałem... – Wpatrzyłem się w tańczący płomień świecy. Wypaliła się już do połowy, pozostawiając na ścianie czarny pas sadzy.

Nikt nie przerywał zaległego milczenia.

Stała mi nagle przed oczami twarz Heńka. Był na niej jego charakterystyczny półśmieszek, a w utkwionym we mnie wzroku lśnił blask życia. Obraz był tak wyraźny, że zerwałem się raptownie na nogi, kopnąłem fotel i obróciłem do okna, by nie okazać im wzruszenia na twarzy. Patrzyłem przez chwilę w czerń nocy rozświetloną lunami, po czym zacząłem mówić nie odwracając się.

– Wiecie, jaki był Heniek... Przyjaźniliśmy się od chłopięcych lat... Toteż przysięgłem sobie, że rachunek będzie wyrównany... Ech, niech to cholera! – Nagły przypływ żalu i wściekłości zahamował mi dalsze słowa.

Usłyszałem za sobą głos Gnata. Moje wzruszenie musiało udzielić się i jemu, gdyż wyraźnie zdradzał podniecenie.

– Musimy zrobić wszystko, by dostać tego podleca! Pamiętajcie, tego gołębiarza ściągniętego z dachu na Podwalu? Zabił kobietę niosącą wiadro z wodą. Okazał się volksdeutschem i klął nas jeszcze na chwilę przed zgonem.

– Tak, toś ty go zestrzelił – przytaknął Świergot. – Walnął o bruk jak worek kartofli. Kości miał potrzaskane, ale jeszcze pluł przekleństwami!

Obróciłem się od okna.

– I tutaj gdzieś ukrywa się podobny typ – mruknąłem.

– Zatem co ustalamy? – Kruszyna spojrzał na mnie.

– O siódmej pogrzeb. Potem muszę złożyć majorowi meldunek, a następnie pogadać z dozorcą o tutejszych mieszkańcach. Wy po pogrzebie zostaniecie w kwaterze. Zastępuje mnie Kruszyna. Z nikim nie gadać, gęby trzymać zamknięte. Po moim powrocie odbędziemy następną naradę i ustalimy, co robić dalej.

– Może by teraz nieco zjeść? – Gnat wrócił do swego tematu. – Już mi mdło z głodu.

– Dobrze, zajmij się kaszą. Zostaw porcję Świergotowi, a potem pójdz go zmienić.

W tej chwili rozległo się pukanie. Wszyscy zamilkli i odwrócili głowy ku ciemnemu wnętrzu przedpokoju. Gnat poderwał się na nogi i ruszył do drzwi. Usłyszeliśmy krótką wymianę słów, po czym na progu ukazała się dziewczyna.

Znieruchomiałem zdumiony. W nikłym świetle świecy z lekka połyskiwały zaczesane za uszy włosy okalające zmizerowaną twarz o zgrabnym nosku i pięknie wykrojonych ustach. Wielkie oczy skrzyły się błyskami, kiedy kolejno lustrowała postacie obecnych. Wreszcie spojrzenie jej zatrzymało się na mojej twarzy. Oczy na moment rozszerzyło zdumienie.

– Andrzej! To ty jesteś Bitny?

Stałem bez słowa i bez ruchu, wpatrzony w dziewczynę. Czułem, jak raptowny kurcz łapie mnie za gardło. Jednocześnie w nagłym wspomnieniu ukazał mi się obraz rozległej płaszczyzny morza, usianej złotymi refleksami słonecznego blasku, a na tym tle ta sama twarz, odchylona nieco w bok o nieskazitelnym rysunku profilu. Powieki przysłaniają oczy. Na ustach drga ledwo dostrzegalny uśmiech... Najdroższe usta o niezapomnianym smaku... Kolorową sukienką targa wiatr, rysując kusząco linie gibkiego ciała...

Nad jej głową zawisł wielki obłok, a na jego białym tle szybowała mewa. To była ta chwila, decydująca chwila fałszywej decyzji... A potem obrona poza przy rozstaniu, pozornie

beztroska, którą tak głupio usiłowałem zagłuszyć głos serca i obawę utraty... I owe nieszczęsne pożegnanie, okrutne pustką słowa. Ich okrucieństwo i głupotę oceniłem dopiero z czasem...

W ciągu tych kilku sekund przeżyłem to wszystko na nowo. Potem zdobyłem się tylko na kilka słów rzuconych zdławionym szeptem:

– Maruta? Skąd ty tu?

Opanowała się pierwsza.

– Jestem tą łączniczką, która zgłosiła na punkcie kwaterę dla oddziału Bitnego. Nie przypuszczałam, że to będziesz ty...

Podszedłem do niej z wyciągniętą ręką.

– Cieszę się z tego spotkania – rzuciłem ze sztuczną swobodą, dodając ciszej, pod wpływem nagłego impulsu – bardziej niż sądzisz...

– Doprawdy? – Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, ale ton pytania był lekko drwiący. Potem nagle spoważniała. – Przyszłam, by dowiedzieć się czegoś bliższego o tym tragicznym zdarzeniu. Podobno jeden z twoich żołnierzy został zabity gdzieś w pobliżu.

– Przykro mi, że nasze spotkanie następuje w takich okolicznościach – powiedziałem z goryczą.

– Ja w ogóle nie przypuszczałam, że kiedykolwiek nastąpi.

– I już powszechnie wiadomo, co się stało? – Celowo pominąłem jej uwagę.

– Powiedział mi o tym komendant kamienicy. Jak do tego doszło?

Opowiedziałem jej pokrótce całe zdarzenie, a potem, kiedy już odchodziła, ruszyłem za nią.

– Odprowadzę cię, jeśli pozwolisz... – Starałem się nadać głosowi zdawkowy ton.

Odpowiedziała mi podobnie.

– Jeśli masz ochotę...

Na klatce schodowej znalazłem jej rękę, której nie cofnęła. Zeszliśmy na dół bez słowa. Dopiero na podwórku, pod rozgwieżdżonym niebem, ciętym nożami świateł reflektorów, zatrzymałem się i ująłem ją za ramiona.

– Szukałem cię. Dawałem ogłoszenia do gazet nieomal do samego wybuchu wojny!

Czy nie czytałaś?! – Wybuchnąłem nie mogąc już opanować się.

Chwilę patrzyła mi w twarz bez słowa, Potem powiedziała spokojnie:

– Czytałam.

– Więc czemu...? Dlaczego nie odezwałaś się?!

Opuściła głowę i przez pewien czas milczała. Potem nagle uniosła ją i zamiast odpowiedzi rzuciła z hamowanym wzburzeniem:

– Dlaczego nie pytasz, co czułam po twoim wyjeździe?! Jak spędziłam tę noc? Teraz mogę ci już powiedzieć: ze łzami wstydu i rozpaczą w sercu. Pamiętam ją do dziś.

– I ja zapłaciłem swoją cenę – odpowiedziałem z goryczą. – Żałosny głupiec!

Wydawało mi się, że będę oryginalny, że okażę fason, jeśli nie wspomnę ani słowa o utrzymaniu między nami dalszego kontaktu, nie podam adresu... W głębi serca oczekiwałem jednak, że ty to zrobisz...

– No wiesz – oburzyła się. – Czułam się potraktowana jak obiekt urlopowej przygody! Czy przypuszczałaś, że będę ci się narzucać?

– Chciałem w ten sposób zniszczyć uczucie, którego się bałem... – Mówiłem wolno, starając się opanować wzruszenie. Uważałem je za coś, co przynosi ujmę memu ówczesnemu wyobrażeniu mężczyzny... Wzbraniałem się przed zależnością, jak to wówczas nazywałem, od spódnicy... Wtedy nie rozumiałem jeszcze wielu rzeczy, miałem głowę pełną bzdurnych poglądów.

– No a dziś...? – W jej pytaniu zadrgała lekka drwina.

– Dziś, kiedy patrzę śmierci w oczy i zabijam sam, wszystko inaczej widzę... Życie i jego sens...

– Starasz się przekonać mnie, że nie byłam ci obojętna i że uczucie to zachowałeś... Ale po co, skoro zabiłeś je we mnie?

– Czy nie zdołasz mi przebaczyć? – Zwolniłem jej ramiona, opuszczając ręce. Uniosła brwi do góry.

– Czego, skoro jesteś mi obojętny?

– Najokropniejsze słowa, jakie mogłem usłyszeć. Już wolałbym nienawiść, bo każe przynajmniej pamiętać!

Uśmiechnęła się z lekka, ale nic nie odpowiedziała.

Zrozumiałem to milczenie.

– Czy nie pozostawisz mi żadnej nadziei? – rzuciłem nieomal z rozpaczą.

Zamiast odpowiedzi wyciągnęła dłoń.

– Idź spać, Andrzeju, na pewno masz sporo zaległości do odrobienia. Ja muszę wkrótce wyruszyć, bo od północy obejmuję służbę.

Opanowałem się wreszcie.

– Kiedy wrócisz? – zapytałem spokojnie. – Czy będziesz na pogrzebie Surmy?

– Nigdy nie wiem, kiedy wrócę – wzruszyła ramionami. – Może wcale... Postaram się jednak być na pogrzebie.

Środa – rano i przedpołudnie

Pojedyncza salwa z pięciu luf zakończyła krótką uroczystość, po której pozostała piaszczysta mogiła wśród innych podobnych, otoczonych krzewami małego ogródka na tyłach kamienicy. I ją jak tamte znaczył krzyż z dwóch desek.

Szukałem wzrokiem Maruty wśród nielicznej grupy asystującej przy pogrzebowej uroczystości, ale jej nie znalazłem. Zawiedziony ruszyłem do dowództwa odcinka.

Po odprawie u majora Gardy, rozważając jeszcze w myślach jej treść, poszedłem z kolei na poszukiwanie dozorczy domu.

Znalazłem pana Jarzábka na drugim podwórku.

– Jestem Bitny, dowódca oddziału, który zajął tu kwaterę – zagailem rozmowę. – Chciałbym z panem chwilę pomówić. Chyba zna pan wszystkich lokatorów?

– E, tam... wszystkich... Tylu teraz mamy przybyszów, że rozeznąć się nie sposób.

Pan Jarzábek spojrzał na mnie nieco spode łba. Twarz miał czerstwą, ale pooraną bruzdami zmarszczek. Para siwych, zwisających ku dołowi wąsów nadawała jej nieco melancholijny wyraz. Wiedziałem już o nim coś niecoś. Między innymi o jego wszechstronnych uzdolnieniach rzemieślniczych, a nawet i medycznych, gdyż podobno jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej pełnił funkcję felczera w rosyjskiej armii. W każdym razie zorientowałem się, że cieszył się wśród lokatorów opinią człowieka zacnego.

– Chodzi mi raczej o stałych mieszkańców tego domu.

Pan Jarzábek popatrzył przed siebie, jakby zaciekawili go raptem plamy słońca i cieni igrające pomiędzy krzakami.

– Dlaczego pana interesują?

– Sądzę, że domyśla się pan. Wczoraj zabito mi z zasadzki żołnierza, szukam więc sprawcy. Musi znajdować się w tym domu, bo innych zamieszkałych w pobliżu nie ma.

– Rozumiem... Sam bym tego drania zadusił własnymi rękami. Zabił Radziejka, a potem syna starej Wróblowej. Ludzie podejrzewają się wzajemnie, obrzucają oskarżeniami... A o kogo panu chodzi?

– Przecież nikogo tu nie znam. Właśnie od pana spodziewałem się usłyszeć nieco informacji, które mogłyby mi pomóc w znalezieniu punktów wyjścia. Niestety, czasu nie mamy zbyt wiele. Mogą nas stąd ściągnąć każdego dnia. Musimy więc działać możliwie szybko.

Pan Jarząbek zastanawiał się przez chwilę.

– Jak panu mówiłem, mieliśmy już dwa zabójstwa...

– Gdzie padały strzały?

– W obu wypadkach w pobliżu naszej kamienicy.

– Podejrzewam, że strzelano z balkonu. Dom z balkonami na tym odcinku ulicy jest tylko jeden.

– Mógł strzelać z dachu.

– Tor pocisku raczej temu przeczy. Czy nie próbowaliście złapać mordercy? Pozwalacie mu na bezkarne zabójstwa?

– Trzeba by go odnaleźć, a to niełatwa sprawa... I z czym na uzbrojonego mordercę? Cała nasza broń, jaką posiadamy w tym domu, to stary bębenkowiec z trzema nabojami. Komendant domu daje go posterunkowi przy barykadzie. Ale mówiąc między nami, jest to bezużyteczny grat.

– Powiedział pan „jedyna broń, jaką w tym domu posiadamy”. Nie należy zapominać o wyjątku.

– Co pan ma na myśli?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI